

„Listy Chopina“ w Teatrze Kameralnym

WARSZAWIE odbywa się wielki konkurs chopinowski, a we Wrocławiu — mały. Okazało się, że łatwiej jest zaplanować ilość miejsc i ilość widzów w teatrach na okres sześćdziesięcioletni, niż ułożyć repertuar dwóch teatrów wrocławskich w taki sposób, aby dwa przedstawienia na ten sam temat, z których jedno jest dobre, a drugie złe, nie odbywały się jednocześnie.

„Listy Chopina“ w Teatrze Kameralnym były rzeczywiście przedstawieniem dobrym i udanym. Były to przede wszystkim „Listy“, potem dopiero muzyka. Autorzy: Maria Wiercińska i Karol Stromenger dokonali wyboru tekstów i utworów z wielkim smakiem i wdziękiem i doświadczeniem. Udało im się, co jest bardzo trudne, pokazać człowieka, a jednocześnie ani przez chwilę nie zapominając, że ten człowiek był największym polskim artystą. Zachowane zostały właściwe proporcje między tym, co w życiu artysty jest jego osobistym, niepowtarzalnym dramatem, a tym, co jest wspólne całej epo-

ce: między historią osobistą, historią talentu i historią społeczną. Chopin, zwłaszcza w drugiej części przedstawienia, stał się nam bardzo bliski. Tak, jakby był między nami.

Nie jest się za darmo wielkim muzykiem, wielkim pisarzem, czy wielkim malarzem. Wielkość jest w listach Chopina, nie tylko w jego muzyce. Pisane są wspaniale, bogatym, jedynym, nasyconym językiem, celnym i trafnym, jeszcze bliskim stanisławowskiej polszczyźnie. Ludzie i zjawiska przedstawione są niezmiernie plastycznie. Chopin widział świat i umiał obserwować. Z jakąś wielką, historyczną dojrzałością ocenił konwenanse wielkiego świata i szczytów salonów, tragiczne spory emigracji, zadania narodowej sztuki. Ten muzyk tak pozornie samotny, tak odcięty od świata, dostrzegł paryski lud burzący się przeciwko Orleanowi i groźny pomruk rewolucyjnej burzy „Wiosny Ludów“ O sobie, o swoich uczuciach, o muzyce pisał prosto i po ludzku. Bez fałszywej skromności, bez niepotrzebnych słów, bez pozy. Listy jego są coraz dojralsze i coraz

smutniejsze. W dzieciństwie pisał je „półpiórkiem“, radośnie i z uśmiechem. Z Majorki, Londynu i Paryża — bardzo gorzkim atramentem.

Listy Chopina, obok listów Stowackiego, Krasieńskiego i Orzeszkowej należą do najwspanialszych pomników epistolografii polskiej. Powiem szczerze, że wole listy Chopina od listów Stowackiego. Jest w nich mniej literatury, więcej życiowej prawdy. Za mało czyta się u nas listów i pamiętników. Zwłaszcza powinni czytać je nasi powieściopisarze. I nie tylko czytać. Mogą się niejednego z nich nauczyć. Zobaczyć, jak historia wrzyna się w życie osobiste; jak w gęście w uczuciach, w myśli, odbija się epoka! Jak wielcy artyści byli zawsze zrośnięci ze swoim wiekiem.

Słowo wiążące ze sobą listy i muzykę, napisał Karol Stromenger. Dokaż trudnej sztuki przekładu języka muzyki na język literacki w taki sposób, aby muzyki nie zabrakło, aby jednak powiedzieć o niej rzeczy ważne i potrzebne. Norwid zamykał wieczór. Jego wiersz „Fortepian Cho-

pin“ jest poetyzny. Ale może dość daleki od tego rozumienia Chopina, które jest nam dziś najbliższe. Wspaniałe za to i niezmiernie współcześnie zabrzmiały końcowe słowa Norwida: „Narodowy artysta organizuje wyobraźnię jak na przykład polityk narodowy organizuje siły stanu“.

Nie mogę pogodzić się tylko z wstępnym fragmentem z „Mitu o duszy polskiej“ Karola Szymanowskiego. Było w nim jakieś „wielkoślowie“, bardzo nieprzyjemne; i mit, i dusza, i wieczność załatwywały najgorszą brzoźwoszczyną. My tym językiem nie mówimy. Słuchaliśmy go dostatecznie długo.

Muzyka w tym wieczorze była dopełnieniem listów i ich pogłębieniem. To nie miał być i nie był koncert chopinowski. Utwory wybrano łatwe i krótkie, ale znalazło się wśród nich parę najpiękniejszych z całej twórczości Chopina. Pokazały nam jego doświadczenie i uprzytomniły geniusz. Powiedziały to, czego nie mogły powiedzieć listy.

Piotr Łoboz jest najlepszym pianistą Wrocławia i ogromnej klasy wirtuozem. W grze jego jest wielka świadomość, doświadczenie i głębia. Zachował umiar, to nie był zwykły koncert. Najbardziej podobało mi się wykonanie Finału op. 2, mazurek d-dur i porywająco odegrane końcowe Scherzo.

Reżyseria Marii Wiercińskiej była bardzo staranna. Pięknym pomysłem było niezopuszczenie kurtyny. Stwarzało to nastrój intymności, jak gdyby nie było to widowisko teatralne, ale spotkanie pianisty i trzech słuchaczy, aby porozmawiać i posłuchać Chopina.

Z wykonawców, którzy wystąpili na premierze (wszystkie role są obsadzone potrójnie) najbardziej podobał mi się Władysław Dewoyno. Ma on niezmiernie rzadką autentyczność i prawdziwość gestu. Przekonywuje w każdym ruchu. Kiedy zwracał się do pianisty, wierzyłem, że rzeczywiście ma mu coś do powiedzenia. I ma świetny, szczerzy uśmiech.

Ewa Krasnodębska wystąpiła po raz pierwszy w życiu na scenie. Rok temu porwano Krasnodębską wprost ze szkoły teatralnej do filmu, mimo fatalnego scenariusza stworzyła postać bardzo przekonującą. Z jej debiutu w teatrze i my i ona możemy być bardzo zadowoleni. Wiersze mówiła bardzo dobrze, i to jeden z najtrudniejszych wierszy naszej literatury. Nie губила linii rytmicznej, a jednocześnie wydobywała pełnię znaczenia. Może się mylić, ale widzę w tym szkole Marii Wiercińskiej, której recytację dobrze pamiętam.

Gorzej było z gestem. Krasno-

dębska zaczęła od samego początku przeżywać muzykę i teksty, jakie czytali jej koledzy. Nic dziwnego, że wkrótce zabrakło jej środków, że wyczerpała w ciągu pierwszego kwadransa cały zasób uśmiechów, pochyliła głowę i wzruszeń. Zanadto pamiętała, aby się wydać ładną na scenie, za mało po prostu słuchała Chopina. Chciała być bardziej interesującą od niego, to się nie mogło udać. Proszę popatrzeć, jak słuchał listów Łoboz, z zupełną naturalnością, z prawdziwym zainteresowaniem, bez sztuczek. Były także błędy w lekturze. Podstawą jest ton referujący. Dopiero od niego można się odbić. Krasnodębska odnosiła każde zdanie. Ostatnie listy Chopina czytała dużo lepiej. I jeszcze jedno: kiedy zakłada się nogę na nogę, nie wolno podnosić stopy. Widz nie może widzieć podszewy. Ten sam grzech popełnił parę razy i Stanisław Bugajski. Czytał wyraziście i bardzo dobrze. Był tylko trochę zbyt drewniany. Zwłaszcza przy Krasnodębskiej, która znowu zanadto przeżywała.

I jeszcze jedna prośba do reżyserki. Trzeba nauczyć wykonawców wymowy obcych słów. (Zwłaszcza francuszczyzna Krasnodębskiej): Ale już dosyć uwag. Lepsze jest często wrogiem dobrego. A wieczór był naprawdę udany i piękny.